TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 50. *Chicago, Ills., 10 Czerwca, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

XLIII.

Wdowa sir Williama Mowbray żywe wzbudziła dla siebie współczucie w sferach wielkiego świata londyńskiego. Wkrótce po wyjeździe Henryka Ashton opuściła Włochy. Wieść o jej smutnych przygodach powszechnie się rozeszła. Wiedziano, że pod wpływem zazdrości i poduszczeń kapitana Lucas, wyjechała z nim w pogoń za mężem i jego mniemaną kochanką; później, poznawszy się na szalbierstwie swego towarzysza podróży, i gwałtem przez niego zagrożona, broniąc się, zabiła go sztyletem. Te romantyczne dzieje jej życia, cierpienia i doznane krzywdy stały się przedmiotem rozmowy w kółkach arystokratycznych. Wielu z tych, co ją młodą i piękną znali, boleśnie zostali wruszeni na widok zmiany, jaką przebyte boleści napiętnowały tak czarujące niegdyś jej rysy. Księżna Devonshire przyjęła ją za przybyciem do Londynu,

Wszędzie ją zapraszano, chcąc ile możności zatrzeć mimowolnie względem niej popełnione uchybienia; ale ona nigdzie bywać nie chciała. Bezwątpienia rana jej serca nie była zgojoną, chociaż z niej wyrwano zatruty pocisk. Tylko w towarzystwie Elleny i narzeczonego najwięcej znajdowała przyjemności. Całemi godzinami siedząc obok nich, tworzyła plany mające ich szczęście na celu, i tym sposobem zapominała choć na chwilę o własnych nieszczęściach.

Tymczasem zacny doktor Orine zasięgnął rady najznakomitszych prawników względem kroków potrzebnych dla ustalenia swoich praw do opiekuństwa nad miss de Vere. Wszyscy mu powiedzieli, że przedewszystkiem potrzeba zastosować się do wyroku lorda kanclerza, i oddać Ellenę pułkownikowi Mowbray, a dopiero potem podać prośbę, aby zbadano jego słuszne żądania. Naprόżno rektor zasłaniał się testamentem sir Williama i udowadniał, w jak niegodziwy sposób nadużyto opieki nad sierotą. Nie znali oni charakteru spokojnego wprawdzie, ale stanowczego doktora Orine, który sobie ułożył, że jeżeli by chciano koniecznie zmusić Ellenę do powrotu do domu jej tyrańskiego wuja, on raczej da jej sam ślub z przybranem synem swoim i wyszle młode małżeństwo na ląd stały aż do pełnoletności Elleny.

— W najgorszym razie czeka mnie tylko chwilowe uwięzienie za lekceważenie praw, — mówił w duchu rektor, — a mniejsza o to, co się ze mną stanie, byleby oni byli szczęśliwi! — Cały zajęty tą myślą, udał się do pałacu księżny Devonshire, w zamiarze udzielenia tego planu swoim przyjaciołom.

Henryk Ashton był tym projektem zachwycony. Ellena nie powiedziała nic, ale wygórowana delikatność i instyktowe poczucie przyzwoitości, które jest pięknej płci ozdobą, szeptało jej, że świat mógłby w złem świetle tłumaczyć ten pośpiech. Księżna Devonshire tego samego była zdania.

— Ach, pani, — zawołał Henryk, — chcesz zniweczyć moje szczęście!

— O nie, tylko je opóźnię! Cierpliwość jest to cnota, którą mężczyzni rzadko się szczycą! Pomnij pan, że nie jestem wręcz przeciwną przyspieszeniu ślubu; ale dopiero wtedy należy uciec się do tego środka, gdy już wszystkie inne okażą się bezskutecznemi. Lady Mowbray nie doświadczyła jeszcze swego wpływu na waszą korzyść!

— Niestety! — przerwała wdowa z westchnieniem, — jakiż ja wpływ mieć mogę?

— I wielki nawet! — odpowiedziała księżna — jeżeli go tylko użyć zechcesz. Przed twojem zamęźciem byłaś damą honorową królowej.

— Prawda.

— Od twego do Anglii powrotu i wykrycia nikczemnego spisku, którego padłaś ofiarą, królowa Jejmość publicznie objawiła współczucie dla ciebie i chęć przyjęcia cię na dworze. Odwiozę cię do Buckingham-House; zażądam posłuchania, do którego mam prawo, jako parowa Anglii; przedstawię cię Jej Królewskiej Mości i poproszę, by tajemnie wstawiła się do nudnego kanclerza za Elleną. Jeżeli nam królowa swoje poparcie przyrzecze, bądź przekonaną, że mimo niewolniczego uszanowania dla poprzedniego orzeczenia i etykiety, Jego Wielmożność pan kanclerz, nie będzie śmiał opierać się żądaniu królowej.

— A jeżeli Jej Królewska Mość odmówi?

— W takim razie użyję mego wpływu na umysł mojej młodej przyjaciółki, by się raczyła skłonić do projektu rektora...

Właśnie w tym czasie książę Rejent był do najwyższego stopnia nielubiany. Samolubny ten władzca zniechęcił całą Anglię nikczemnem prześladowaniem, którem swą nieszczęśliwą żonę udręczał. Stara królowa, matka jego, była również przedmiotem nienawiści powszechnej za to, że trzymała stronę syna przeciwko swej synowej.

Karolina z Mecklenburgu, żona Jerzego III, była jedną z tych osób, których wady są raczej pozorne niż rzeczywiste. Przez czas jej zasiadania na tronie, dwór oczyścił się z haniebnej niemoralności, w jaką był popadł za obu rządów poprzednich. Wiadomo, że nie chciała widywać się z margrabiną Anspach, na której ciężyło podejrzenie, że była przód metresą margrafa. Gdy króla obłąkanym uznano, parlament mianował ją opiekunką chorego; trzeba wyznać na jej pochwałę, że się rzadko do polityki wtrącała. Największą dla niej przyjemnością było oszczędzać pieniądze i posyłać je regularnie swoim krewnym do Niemiec. Szlachta angielska poważała ją, ale jej nie lubiła; lud szanował ją i nienawidził razem.

— Jak widzę, dziś było przyjęcie — rzekł doktor Orine do swego wychowańca, wysiadając z powozu koło Constitution Hall po opuszczeniu pałacu Devonshire; — jaki natłok w parku!

W każdym innym czasie, widok świetnych pojazdów i mnóstwa pieszych w parku byłby zabawił Henryka. Ci ostatni po większej części karcili głośno politykę rządu, wygwizdując lub witając oklaskami znakomite osoby przejeżdżające obok nich, stosownie do tego czy popierały lub ganiły postępowanie gabinetu. Lordowie Sidmouth i Castlereagh byli narażeni na najgwałtowniejsze objawy opinii publicznej. Pierwszy dość obojętnie znosił tę niechęć, ale drugi nie umiejący tak dobrze panować nad sobą, nie mógł utaić swego gniewu i wzgardy.

Otworzono bramę ogrodu St. James i ukazała się garstka yeomenów gwardyi, niosących lektykę, nad którą wznosiła się korona. Za nią postępowała szlachta domu królowej, która po recepcyi wracała do Buckingham-House.

Krzyki: — Królowa, królowa! — powstały pośród motlochu; usłyszano sykania i tłum ścisnął się dokoła lektyki.

— Wielki Boże! to Jej Królewska Mość! — zawołał rektor. — Patrz, lud znieważa królowę!

— Hou! hou! stara tabacznico! — ryknęło kilku najzuchwalszych; — kto zabił księżniczkę? — Lud bowiem mniemał powszechnie, że księżniczka, następczyni tronu była otruta i że jej babka miała udział w tej zbrodni. Lud bywa zazwyczaj bardzo łatwowierny, ilekroć idzie o wydarzenia okropne i niepodobne do prawdy.

Kamień rzucony uderzył w koronę złoconą u wierzchołka lektyki. Kilka osób przyzwoitej powierzchowności krzyknęło do tłumu:

— Wstydźcie się! — wstydźcie! — ale to wystąpienie wnet zostało przygłuszone wyciem i gwizdaniem wzmagającem się wśród tłuszczy rozjuszonej.

Zaledwie Henryk Ashton ujrzał niebezpieczeństwo grożące królowej, porzucił swego towarzysza i zaczął torować sobie drogę przez ciżbę, wstrzymującą yeomenów niosących lektykę. Z wytężeniem wszystkich sił zdołał zbliżyć się do lektyki, ale rzucony powtórnie kamień uderzył go w czoło; na szczęście pocisk nie był tak mocny aby go pozbawił przytomności, chociaż krew zalała mu oblicze.

— Powinnibyście się wstydzić! — krzyknął; nie uwierzyłbym żeście Anglicy. Czy należy się tak obchodzić z damą, stopniem i wiekiem zarówno poszanowania godną, która mogłaby służyć za wzór wszystkim matkom i córkom tego kraju?

— Słyszycie tego arystokratę! — odezwał się ktoś z tłumu.

— Precz z arystokratą! precz z magnatem! — ryknęło kilku innych.

Z wielkiem zdziwieniem motłochu, yeomeni gwardyi niosący lektykę stanęli, a Jej Królewska Mość, spuściwszy okna ukazała się wszystkim. Twarz jej była blada, ale nie zdradzała przestrachu. Pierwszy to raz i jedyny podobno w przeciągu swego długiego życia, królowa Karolina okazała tyle odwagi i godności.

— Dla czego mnie znieważacie? — zapytała. — Mam przeszło lat siedmdziesiąt, i minęło już pięćdziesiąt odkąd jestem królową Anglii! Jakim czynem życia mego zasłużyłam sobie na tak niegodne obejście?

— Znowu wołania: — Wstydźcie się! hańba wam! — dały się słyszeć. Kilka osób poważnych zaczęło gromadzić się w koło lektyki.

W tem dano znać, że konna gwardya zbliża się galopem; natychmiast najhałaśliwsi ze zgrai najżwawiej poczęli uciekać, jak to w podobnych razach zwykle się zdarza.

Wielu magnatów i oficerów wracających z recepcyi powysiadało z pojazdów a dobywając broni, przyłączyli się do orszaku królowej, aby ją odprowadzić do Buckingham-House.

Wysiadając z lektyki, królowa dziękowała tym, co dobrowolnie utworzyli jej straż obronną; potem przyjąwszy ramię swego szambelana, udała się wielkiemi schodami na górę.

W tem, jakby nagle coś sobie przypomniała, zatrzymała się, polecając jednemu z oficerów swego dworu, by się dowiedział jak się nazywa jej wybawca.

— Nazywam się Henryk Ashton! — odpowiedział nasz bohater.

— Pan jesteś szlachcicem? zapytał wysłannik monarchini Niemiec z pochodzenia, jak większa część służby starej królowej.

Henryk wręczył mu kartę wizytową, na której była wypisana godność jego, jako członka poselstwa angielskiego w Neapolu.

— Ach, bardzo dobrze! — zawołał posłaniec, wyczytawszy zwolna mikroskopiczne głoski. — Jakże mnie cieszy, że pan nie należysz do tego szkaradnego motłochu. Mój Boże! uchybiać królowej! Wartoby powystrzelać tych wszystkich zdrajców!

Henryk pożegnal go ukłonem i oddalił się, by odszukać rektora, którego na szczęście spotkał przy pałacu.

— Dla Boga! tyś ranny, Henryku! — wykrzyknął z przerażeniem poczciwy rektor.

— Lekkie zadraśnienie... mało co czuję... nic wielkiego!

— Jakim sposobem odniosłeś tę ranę?

Henryk opowiedział mu co się stało.

Doktor Orine uznał tę okoliczność za dość ważną, aby ją niezwłocznie księżnej zakomunikować, która rzeczywiście postanowiła użyć jej na korzyść zakochanej młodej pary.

Skoro książę rejent dowiedział się o zniewadze wyrządzonej matce jego, wysłał natychmiast silny oddział gwardyi pieszej do Buckingham-House, dokąd mnóstwo szlachty i ministrowie niezwłocznie pospieszyli, chcąc tym sposobem dowieść, jak byli oburzeni obelgą, wyrządzoną matce ich monarchy. Księżna Devonshire przybyła także w towarzystwie lady Mowbray. Natychmiast wpuszczono je do królowej.

— Ach, lady Mowbray! — zawołała sędziwa monarchini, — cieszymy się niezmiernie, że cię oglądamy i możemy cię zapewnić o naszem szczerem współczuciu dla tych niezasłużonych cierpień. Zrobisz nam tę przyjemność, że będziesz obecną na przyszłej recepcyi, abyśmy mogli publicznie okazać uczucia nasze względem ciebie!

Chociaż królowa cierpliwie słuchała opowiadania księżnej, gdyż lubiła ploteczki i kronikę skandaliczną, zbyt jednak była wzruszoną wskutek doznanej przygody, aby mogła przyrzec wstawienie się za narzeczonymi.

— Ja tu nie poradzę, — odpowiedziała. — Milord Liverpool właśnie był u mnie, i twierdził, że rząd nic nie przedsięweźmie, dopóki nie dostanie w swoje ręce tego rozbójnika, który na mnie kamieniami rzucał.

Może narzeczony panny de Vere potrafi wskazać tego nikczemnika?

— Kto jest ten narzeczony?

— Jest to ów gentleman, który miał szczęście wyświadczyć Waszej królewskiej Mości maleńką przysługę, i raniony został przy tej sposobności.

— Jakże się nazywa, księżno?

— Pan Henryk Ashton.

— Ach, prawda, tak się nazwał, przypominam sobie, więc o tym młodzieńcu mówiłaś? Dobrze, dobrze! przekona się, że nie jestem niewdzięczną... pomówię z lordem-kanclerzem.

W tem wszedł paź do gabinetu, oznajmiając, że lord-kanclerz przybył i prosi o pozwolenie złożenia swych hołdów Jej królewskiej Mości.

— Przyjmę go w zielonej sali. Zostań tu, księżno, nie dam ci długo czekać.

Mimo obietnicy, minęła prawie godzina nim królowa wróciła. Wchodząc do gabinetu, była czerwona z gniewu. Znając upor kanclerza, księżna lękała się, czy lord nie sprzeciwił się przypadkiem żądaniu królowej. Omyliła się jednak. Królowa Karolina więcej miała uporu, niż jej urzędnicy.

— Czy Wasza królewska Mość zdołała na swojem postawić? — zapytała z uszanowaniem lady Mowbray.

— Na swojem postawić, hm! — mruknęła królowa, — kanclerz równie jest nieznośny, jak milord Liverpool. Ciągle mi powtarza o poprzedniem zawyrokowaniu, o poniewieraniu prawa! a gdym zażądała ukarania tego człowieka co mię znieważył, wzruszył ramionami mówiąc: Rząd tylko to uczyni, na co prawo pozwala!...

— Czy podobna? — zawołała księżna.

— Taka jego odpowiedź, mimo to nie zapomniałam o twoich przyjaciołach... Możesz odemnie powiedzieć temu młodemu człowiekowi, że nie ma się czego obawiać... Twoja siostrzenica, — dodała, zwracając się do lady Mowbray, — nie wróci już do swego niepoczciwego wuja.

Wdowa po sir Williamie przyklękła, całując pomarszczoną rękę, którą królowa ku niej wyciągnęła.

— Możesz mi podziękować, bom się z nim długo sprzeczała. Dopiero gdym mu zagroziła, że dam pannie de Vere posadę w mym domu, o którą on ubiega się dla lady Munton, obiecał mi załatwić tę sprawę...

Nazajutrz rano, gdy Ellena w towarzystwie księżnej, doktora Orine i Henryka Ashton przed lordem kanclerzem stanęła, pułkownik Mowbray zmięszał się niepospolicie. Żadna je-

szcze sprawa w tak krótkim czasie rozstrzygniętą nie była, i kanclerz postanowił, że sierota zostanie pod wspólną opieką doktora Orine i owdowiałej lady Mowbray, którym atoli wzbroniono dać pozwolenie na związek małżeński sieroty z Henrykiem Ashton, dopóki testament sir Williama nie uzyska uznania ważności.

To rozporządzenie kanclerza zadowoliło wszystkich, prócz Henryka i pułkownika. Pierwszy przewidywał, że uszczęśliwienie jego na długo jeszcze może się przeciągnąć; drugi zaś nie mógł sobie nic lepszego z procesu obiecywać, prócz wstydu i hańby publicznej.

— Gdybym mógł odzyskać list nieszczęsny, który do kapitana Lucas pisałem, — mówił sam do siebie wracając z sądu, — zdołałbym się jeszcze wywinąć...

List ten był w posiadaniu lady William, która się z nim nigdy nie rozstawała, kładąc go w nocy pod poduszkę. Pułkownik Mowbray wiedział o tem i rozmyślał nad sposobem odebrania tego pisma.

XLIV.

Na drugi dzień po widzeniu się owdowiałej lady Mowbray z królową Karoliną, czytano w gazecie następujące doniesienie pomiędzy wiadomostkami dworskiemi:

„Jej królewska Mość raczyła przyjąć na osobnej audyencyi w Buckingham-House lady Mowbray, wdowę po baronecie tego nazwiska, która właśnie wróciła do Anglii, po wieloletnim pobycie na stałym lądzie."

Te kilka wierszy, tak na pozór mało znaczących, pomściły znieważony honor lady Mowbray, stawiając ją znowu w rzędzie najzacniejszych pań angielskich.

Z powodu, że odtąd nie potrzebowano się już lękać żadnego zamachu ze strony pułkownika Mowbray przeciwko Ellenie, doktor Orine i księżna Devonshire radzili szlachetnej wdowie, by wróciła do Opactwa Carrow z młodą sierotą i tam pozostała do chwili, aż sądy orzekną co do autentyczności testamentu sir Williama.

Bolesna to rzecz ujrzeć w starości i żałobie miejsca, gdzie się spędzało niegdyś dnie szczęśliwe. Wszystko tam przywodzi nam na pamięć tych, których utraciliśmy na zawsze. Dla lady William, każde wspomnienie było popiołem zasypane.

— Macie wielki wpływ nademną, — rzekła lady Mowbray w odpowiedzi na usilne nalegania Elleny i jego narzeczonego. — Słysząc was, zdaje mi się, jakbym słyszała głosy od dawna umilkłe!... Matka twoja była najpierwszą przyjaciółką moją, — dodała zwracając się do Elleny; — jakże ją serce boleć musiało, gdy mnie świat występną uznał!

Sierota rzuciła się jej na szyję i pocałunkami osuszyła łzy, które przyćmiły oczy jej wujenki.

Z większą trudnością wytłumaczyła sobie powód wpływu, jaki na niej wywierała obecność Henryka. Nie raz drgnęła i zbladła jak chusta, gdy dźwięk jego mowy przywiódł jej na myśl sir Williama. Czy zbliżenie i przebywanie z baronetem zrobiło go doń podobnym nawet pod względem przymiotów fizycznych?

Postanowiono w końcu, że Henryk pojedzie naprzód do Opactwa, aby na przyjęcie pań wszystko przygotować. Joe Beans miał towarzyszyć swojemu panu.

Wkrótce po przybyciu młodych ludzi, rozeszła się po wsi wiadomość, że owdowiała lady Mowbray wróci do Opactwa na mieszkanie, dokąd też mistress Jarmy, piwniczy Nicholls i wszyscy dawni słudzy udali się dla poczynienia potrzebnych przygotowań. Jeszcze przed wyjazdem do Londynu, Henryk i rektor nie omieszkali rozgłosić, jakiego szalbierstwa dopuścił się kapitan Lucas; tym sposobem obudziło się żywe współczucie dla zacnej wdowy.

Kiedy wiadomość ta doszła do uszu Marcina, pokręcił głową i uśmiechnął się, mówiąc półgłosem:

— Wszystko to widziałem w marzeniach moich... w części już się spełniły, reszta ziści się z czasem...

Na zapytanie, co rozumie pod tą resztą, potrząsał tylko głową i zapadał w dawne milczenie. Wsparty na ramieniu Joego, wracał do swego ulubionego zakątka w stajni, gdzie dumał nad wszystkiem, co minęło, a może i nad tem, co nastąpić miało. Domownicy uważali jego mowę za objaw stanu zdziecinniałego, w jakim go pogrążonym mniemali, ale mocno się mylili. Pamięć starca odświeżyła się zupełnie; udowadniał to, przypominając nie raz sędziwej mistress Jarmy, zajętej porządkowaniem pokoju dla lady Mowbray, gdzie stał niegdyś ten lub ów sprzęt, jakie kwiaty lubiła ich nieszczęśliwa pani, i tym podobne drobnostki.

Dzierżawca Ashton nie pierwszym był małżonkiem, który się przekonał, że niepodobna ukryć przed żoną żadnej tajemnicy. Chociaż zacna matrona nie posiadała piękności właściwej dziewczętom i młodym mężatkom, nie ustępowała im za to w ciekawości; niebawem też wymogła na Macieju wyznanie, że Khan jest jego bratem.

— A zatem on jest ojcem Henryka?

— Bez wątpienia matko, — odrzekł poczciwy oracz.

— Ale spodziewam się, że go nie zabierze z sobą do obcych krajów; zdaje mi się, że Harry dosyć się już napodróżował.

— Ja także nie myślę, aby go chciał ztąd zabrać, zwłaszcza, że wszystko już załatwione między nim a miss Elleną. Zresztą sam Harry nic jeszcze o tem nie wie...

— Jakto? nic nie wie, że Khan jest jego ojcem?

— Nie wie...

— Co tego, to za wiele!... Ale ty mu to powiesz?

Przyrzekłem bratu tajemnicę.

— Ale ja jej nie przyrzekłam! — zawołała staruszka z oburzeniem. — Czyliżby się swego syna wstydził? Och, Macieju! Macieju! czemu on nie naszym synem!...

— Prawda, czemu on nie naszem dzieckiem! A jednak nie moglibyśmy go więcej kochać...

Z niemałą trudnością uprosił żonę, aby dochowała tajemnicy.

Podczas gdy przybrani rodzice naszego bohatera zajmowali się jego położeniem, Khan zniknął nagle z okolicy Carrowa, i przez kilka dni szukano go napróżno.

XLV.

Red-Ralf szedł na folwark, spodziewając się zastać tam Joego Beans; gwizdał i rozmawiał sam z sobą; podobny był raczej do djablika, niż chrześciańskiego dziecka; wreszcie zbliżył się do głębokiego i samotnego parowu, gdzie stała chatka, zamieszkiwana niegdyś przez Willa Sidelera. Od czasu jak zbójca został straconym, wieśniacy okoliczni ze zgrozą poglądali na dawną jego siedzibę, a zabobonne kobiety wiejskie twierdziły, że w tem miejscu strachy się pokazują.

Chociaż nasz pastuszek nie był przesądnym, przecież od czasu śmierci Sidelera, mniej był odważnym, jak dawniej. Wesołe jego gwizdanie zwolna w niewyraźne przeszło mruczenie. Kilka razy zadrżał na lekki szelest, sprawiony przesunięciem się lisa lub kota między ciernie i zarośla.

— Na moją uczciwość, już noc, — rzekł, oglądając się dokoła — a mam wielką ochotę wrócić do wsi...

Postąpił znowu kilka kroków.

— Wyśmianoby mnie na folwarku... Nie, muszę iść dalej!

Nasz malec, który większą część swego życia przepędził w polu i w lesie, i często ukradkiem czatował na zwierzynę w parku Richmond, miał wzrok i słuch prawie tak bystry, jak dziki Indyanin. Natężał więc te zmysły pod wpływem, jeżeli nie bojaźni rzeczywistej, to przynajmniej czujności obudzonej, unikając troskliwie krzaków i gęstwy, wśród których mógłby się ukryć jaki włóczęga. Chętka do gwizdania całkiem go opuściła.

Tak doszedł do łączki przed chatą. Jakież było jego zdziwienie, gdy przez okna ujrzał czerwonawy promyk światła. Z razu mniemał, że to odblask ostatnich promieni zachodu, ale okno wychodziło na wschód, co Ralf zaraz zauważał. Wtedy wszystkie baśnie, jakie kiedykolwiek słyszał, przyszły mu do głowy. Czyżby istotnie duch Willa Sidelera nawiedzał chatę?...

Gdy ochłonął z pierwszego zdumienia, rzucił się na ziemię pełzając jak zwierzę, i zaczął uciekać ku zaroślom.

Krzaki tem były dla Red-Ralfa, czem stajnia dla starego Marcina: najwłaściwszem miejscem do pogrążenia się w zadumę.

— Co to być może? — zapytał sam siebie. — Jeszcze dziś rano słyszałem, jak mówił zawiadowca do dzierżawcy, że ta chałupa lada dzień się zawali. Niktby w niej mieszkać nie chciał... Ale... może to kto trudniący się kradzieżą zwierzyny... może jeszcze co gorszego!...

Ralf pokładał wielkie zaufanie w tęgim kosturze. Wybrał więc młodą dębinę, wyciął ją i ogładził tak, że doskonały z niej kij zrobił.

— Jeżeli nie widmo, — mruczał, — to dam sobie radę... Nie lękam się stworzenia, mającego krew i ciało, jak ja, ale nie chciałbym zobaczyć tego starego zbója, z bawełnia-

ną czapką na twarz nasuniętą... nogi drgały mu niby w tańcu... hm! hm!...

Dreszcz odrazy przebiegł mu po ciele na wspomnienie wstrętnego widowiska, którego był świadkiem w Norwich.

Uzbrojony w kostur i silne postanowienie, chłopczyna przysunął się do dęba, którego konary sękate zaciemniały ścieżkę, i dotykały prawie dachu omszonej chaty. Ostrożnie wdrapał się na drzewo, usiadł na gałęzi i przychylił się tak, aby mógł zajrzeć do wnętrza chałupy, z której okien bił blask czerwonawego światła.

Dobry ogień trzaskał na kominie, a nad nim wisiał kociołek żelazny. Na stole, w samym środku izby, leżał bochenek chleba, butelka i talerz. Ale co najbardziej uwagę malca zwróciło, to małe pudełko czarne, w srebro okute. Był pewny, że już je gdzieś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć, w jakiem miejscu.

— To nie upiory, tylko złodzieje leśni, kradnący zwierzynę, — pomyślał, — jakież ze mnie głupie stworzenie, żem się tak zląkł przed chwilą!

Już miał zleźć z drzewa, gdy przyszła mu chętka zobaczyć człowieka, dla którego się ta wieczorna przekąska gotowała.

— Jakiś smakosz, lubiący jak ja króliki...

Czarna skrzyneczka ze srebrnem okuciem coraz bardziej go zajmowała; nie mógł od niej wzroku oderwać; wywierała na nim jakiś urok; ciekawy i smutny był razem; pragnął wiedzieć, co w sobie zawiera, a gniewało go, że nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją już widział.

Chata wydawała mu się pustą; sposobność go korciła, zlazł więc z drzewa powoli, trzymając kij w zębach, aż się dostał na ziemię.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW TUCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Podniosłem się pokrzepiony modlitwą i wtedy kwilenie dziecięcia usłyszałem. Toś ty był. Wziąłem cię na ręce, szedłem do zagrody Junosza... zobaczyłem go z daleka, zląkłem się i uciekłem. Błąkałem się na puszczy z tobą.

O! ile wycierpiałem!...

Szum drzew zdawał się do mnie mówić: bratobójco!... wiatr jęczący po mogiłach wołał na mnie: bratobójco!... w grzmocie i piorunach słyszałem wyraźnie: bratobójco!... gdy mnie kto napotkal, spoglądał na mnie ze zgrozą; mnie się zdawało, że na mem czole było napisane: bratobójca!... gdyś ty usta otworzył, zdawało mi się, że usłyszę: bratobójco!...

Zostałem w puszczy zdala od świata, zdala od ludzi, tylko z tobą samym. Tyś rósł; miałeś już trzy lata. Postanowiłem na grobie Chry-

stusa szukać ulgi dla mego sumienia i przebaczenia za popełnione bratobójstwo.

Jesteśmy w Palestynie.

Na grobie ukrzyżowanego Zbawiciela rzewnie mój nierozmyślny czyn opłakiwałem. Sumienie ulżyło, balsam pociechy spadł mi z nieba, uczułem, że mi Bóg grzech przebaczył. Ale na zupełne oczyszczenie zesłał mi Bóg jeszcze jeden krzyż, krzyż niewoli: sprzedano mnie jako niewolnika baszy Antyocheńskiemu, Hakimowi.

Gorzki chleb zmaczany łzą niewoli, lecz ja los mój z pokorą znoszę, bo wiem, że mi go Bóg zsyła. Wiem, że Bóg dobry włożył mi na kark jarzmo niewoli na zupełne oczyszczenie z grzechu bratobójstwa! O! jak gorąco całuję więzy moje, bo wiem, że one duszę moją z grzechu obmyją.

. . . .

Hakim nie ma potomstwa męzkiego. Upodobał sobie ciebie i chce mi cię wydrzeć. O! tego nie pozwolę. Jam chrześcianin i ty nim jesteś, jesteś ochrzcony. Codziennie padamy razem z tobą na kolana i modlimy się, aby nas Bóg z jarzma uwolnił.

. . . .

Hakim chce cię wziąść za syna. Uwolnił mnie od robót niewolniczych — jesteśmy przeniesieni do komnat bogatych. Próżno... ja cię nie dam... wrócisz do Polski...

. . . .

Grozi mi Hakim, że jeśli się będę opierał, to ciebie przemocą zabierze, a mnie czeka śmierć! To mnie nie zastrasza. Będzie to pewno ostatnia próba, ostatni krzyż za bratobójstwo. Gdyby to się stać miało, módl się czasem za twego nieszczęśliwego stryja.

. . . .

Hakim chce, abyś nie mówił po polsku, tylko po syryjsku. Nie wolno mi się z tobą już widywać, tylko w przytomności Hakima. O sroga kara za bratobójstwo!

. . . .

Już czwarty rok mija, jak pędzę życie w Antyochii, ty mnie już nigdy sam na sam nie widzisz... zapomniałeś języka... jesteś mahometanin... dano ci imię Hakim, ale prawdziwe twe miano jest Wacław Strzymski!

. . . .

— O! spodziewałem się tego, — zawołał Wojciech i rzucił się Hakimowi na szyję. — O! tak, tyś jest Wacław, mój brat, a ot ta czarna plama na prawym policzku. Także twe rysy sarmackie zdradzają twe pochodzenie. Witaj zgubiony i znaleziony bracie!

Hakim, Marya i krzyżowcy nie mogli pojąć co się dzieje. Zdumieni spoglądali na Wojciecha.

— Uściskaj mnie Wacławie, — wołał Wojciech z uniesieniem. — Ciesz się, ojciec twój żyje, a stryj nie jest bratobójcą! Uściskaj mnie i słuchaj!

Tu opowiedział pokrótce, cośmy już z ust Zdzisława słyszeli.

Marya nie posiadała się z radości. Padła na kolana i modlitwą ulżyła przepełnionemu sercu.

Basza trzęsąc głową, rzekł:

— Nie mogę temu dać wiary, bo wszakże nie wiem, czy to pismo do mnie należy.

— Tu jeszcze jest dopisek syryjski, rzekł krzyżowiec, który pismo czytał; ja po syryjsku czytać nie umiem.

Basza wziął pismo i czytał głośno:

„Niewolnik nie chciał mi syna oddać, wpadłem w gniew i zabiłem podłego. Nie wiem, co tu stoi, nie wiem, dla czego to pisane, ale się spodziewam, że tu jest wzmianka o pochodzeniu jego. Ja przyjąłem syna jego za własne dziecko i jest moją wolą, aby Hakim dopiero przy śmierci to pismo otworzył".

— Nie ma wątpliwości! — zawołali krzyżowcy chórem.

— Tak, Wacławie, nie ma wątpliwości — rzekł Wojciech, rozcinając jego więzy.

Basza tarł ręką czoło, jakby sobie coś przypominał. Snadź przypomniał, bo kiwał głową, aż nareszcie wyrzekł do obecnych:

— Ach! pamiętam, pamiętam owego starca... rysy jego utkwiły mi mocno w pamięci. Kochałem tego starca. Płakałem bardzo, gdy go basza w oczach moich przebódł... już leżąc we krwi, mówił coś do mnie, ale mnie szybko z komnaty oddalono i już od tego czasu nic o nim nie słyszałem. Ale wielki Ałłachu! więc ja jestem chrześcianinem! niewiernym!

— Tak, chrześcianinem! — rzekła prędko Marya, — padnij na kolana i dziękuj Zbawicielowi, że ci napowrót drogę do łaski swej otworzył. Patrz! jam też chrześcianka, pomimo twego zakazu!

To mówiąc, sięgnęła na pierś po mały krucyfiks z wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela,

ucałowała go i Wacławowi do ust przycisnęła. Wacław mimowolnie ukląkł i rzekł:

— Boże nieznany odemnie! uczuwam, żeś potężniejszy od Ałłacha, kiedyś w jednym momencie serce moje do Siebie pociągnął. Przebacz! że w nieświadomości żyjąc, występowałem przeciwko Twym wyznawcom. Przyjmij mnie także do rzędu sług Twoich!...

Dalej mówić nie mógł, łzy mu się z oczu puściły, a głos zamarł w piersiach.

Znowu Wojciech zapytał.

— A gdzież Jerzy?

— Odjechał z Palmirą do Europy — odrzekła Marya.

— Z jaką Palmirą?

— Z moją córką, jeszcze z małżeństwa z Adamem.

— Czy wiesz Wacławie, kto jest ten Jerzy?

— Wiem. Przyjaciel pierwszego męża Maryi i jej samej.

— Jest on jeszcze czemś więcej. To twój rodzony brat, drugie dziecię z was bliźniąt.

— Jerzy? — spytała Marya niedowierzając.

— Tak, ten sam. O! jak się mój stryj, a wasz ojciec ucieszy, znalazłszy swoje dzieci, których stratę większą połowę żywota opłakiwał.

— Czy zobaczę mego ojca? — spytał Wacław.

— Zobaczysz go, Wacławie. Bracia, — zawołał Wojciech, zwracając się do krzyżowców, — spodziewam się, że mego brata wolno puścicie, że nie będziecie go za jeńca uważali.

— Lubo uważamy w nim brata twego i chrześcianina, jednak ostrożność wojenna nie dozwala nam go na wolność puszczać, chyba natychmiast ztąd wyjedzie.

— Bez wątpienia, natychmiast, — rzekł Wojciech uradowany, zdzierając krzyż z siebie. — Tak jest, natychmiast zabieram brata i bratowę, i wracam ich rodzinie, która ich tak długo opłakuje.

— Żegnaj nam mężu waleczny, — rzekło kilku, przystąpiwszy do Wacława. — Zawsze poznać było w tobie walecznego Sarmatę, który nam swą walecznością tak dał się we znaki.

Wacław rozczulony podał im prawicę. Wojciech tymczasem to ściskał brata, to całował ręce Maryi.

Wieść ta lotem błyskawicy gruchnęła między krzyżowcami. Zewsząd ciśniono się, aby oglądać człowieka w tak dziwne stosunki zawikłanego. Z tej przyczyny nietylko osoby, ale i majątku Wacława nikt nie śmiał naruszyć.

Krzyżowcy polscy zeszli się powitać brata znalezionego, ciesząc się, że znaleźli ziomka, który walecznością swoją zaszczyt im sprawił.

Pomimo chęci Wojciecha nie mogli dziś jeszcze odjechać. Noce są zwłaszcza w latowej porze bardzo krótkie. Nikt nie pomyślał o spaniu. Spędzono noc całą na wzajemnem opowiadaniu, na sposobieniu się do podróży.

Nazajutrz okręt odpłynął z portu antyocheńskiego, wioząc Wacława, Wojciecha i Maryę do Europy. Maryi serce gwałtownie biło, gdy po raz drugi puszczała się na wodę. Stanęła jej na myśl walka z korsarzami — jej Adam!

Jak się domyślić należy, Marya nie zapomniała wziąść ze sobą zwłoków Adama.

Z drugiej strony widziała przed sobą pewną nadzieję ujrzenia ojczyzny i córki. I Wacław miał niemniej nadzieją przepełnione serce: miał bowiem oglądać ojca, miał oglądać brata, który żył z nim ośmnaście lat, nie wiedząc o powinowactwie tak blizkiem... Ale Wojciech już dawno wyszedł z ojczyzny... czy Wacław zastanie tak wszystko, jak Wojciech zostawił?

Te i tym podobne myśli krzyżowały się podróżnikom po głowie. Podróż szła lotem strzały, a jednak im się zdawało, że się ledwie z miejsca poruszają. Okręt jak jaskółka szybował po zmarszczonem licu wody, a im się zdawało, że żółwim posuwa się krokiem.

O! gdyby można być tak szybkim, jak błyskawica, lub też biedz tak prędko jak myśl...

W miesiąc zawinął okręt szczęśliwie do Carogrodu, a ztamtąd puścili się konno ku granicom — Ojczyzny — Polski.

ROZDZIAŁ VII.

Przenieśmy się myślą w nadobne okolice nad Dniestrem. Las gęsty, nieprzejrzany, rozciągał się wzdłuż granicy polskiej. Nad lasem widać prześliczny dworek, otoczony w koło odwiecznemi lipami. Właśnie z tego dworku wyjeżdża konno gromada ludzi: łowcy — snadź będą polowali.

Łowcy wjechali do lasu.

Pomiędzy myśliwcami znajdował się nado-

bny młodzian, którego osobistość różniła się znacznie od jego towarzyszy. Od razu zgadłeś, że on jest panem, a towarzysze albo jego sługi, albo osoby nie wyrównywające mu urodzeniem, majątkiem, stanowiskiem. Jechał na białym koniu; rumak niecierpliwy wybiegł z jeźdźcem na samo czoło orszaku. Młodzian niedługo pobawiał pomiędzy jeźdźcami, lecz zwrócił konia nad rzekę, i nad nią jechał zwolna, napawając się cudnym widokiem natury.

Było to bowiem w maju.

Nagle okazała się wielka, w koło gęsto drzewami zarosła gołaźnia. Na jednym boku stało coś niby podobne do szałasu. Podjechał bliżej... był to w samej rzeczy szałas. Przed szałasem siedziała w dziwnym stroju postać niewieścia. Twarzyczkę ujęła w dłonie i zdawała się dumać.

Chwilę stał młodzieniec, nie wiedząc co począć, czy się zbliżyć, lub czy odjechać. Skłonił się do pierwszego. Dał koniowi znak... koń parsknął i w kilku susach stanął przed szałasem.

Dziewica zerwała się, zakrzyknęła, ale widząc szczerą twarz młodzieńca, usiadła spokojna i czarne oczy ciekawie na młodzieńca zwróciła. Młodzian oniemiał... tyle piękności jeszcze nie widział... tak cudnej twarzy jeszcze nie śnił nigdy. Dziwiło go mocno, jak taka dziewica może się po lasach ukrywać... a ten strój osobliwy...

Zsiadł z konia, stanął przed nią z uszanowaniem i rzekł:

— Piękna dziewico! Nie wiem, czy w tej chwili jestem igraszką snu, albo marzenia. Twa postać jest tak osobliwie piękna, że nie wierzę, abym w tej chwili był przy trzeźwych zmysłach. Coś ty jest? aniołem?... czarodziejką...

Palmira... gdyż to ona była... zdziwiła się również mocno, jak i młodzieniec; usłyszała bowiem mowę, którą tylko z ust matki i Jerzego przywykła była słyszeć.

Ale nim Palmira młodzieńcowi odpowie, zobaczmy, jakim sposobem znalazła się ona w tem miejscu. Wiemy, że Palmira z Jerzym odpłynęła z Antyochii. Bez żadnego przypadku przybyli do Carogrodu, a ztąd na Izmaiłów dążyli ku Polsce. Jerzy nabył dwa konie, na których podróż odbywali. Że Jerzy nie wiedział o stosunkach, jakie w Polsce zajść mogły, mianowicie, czy banicya odwołana, nie mógł tak ślepo na niebezpieczeństwo się narażać. Niewiedział dalej, czy familia Różewskich prześladowań zaprzestała. Postanowił więc przeto na granicy tak długo się zatrzymać, póki o wszystkiem dokładnie się nie dowie. Zbudował szałas i w nim umieścił Palmirę. Właśnie dzisiaj oddalił się od niej, chcąc zbadać okolicę, albo też nadybać jaką żyjącą istotę, któraby go w tej mierze oświeciła. Idąc po nad Dniestrem spostrzegł jadącego młodzieńca i za nim wrócił niespostrzeżony aż do miejsca, gdzie szałas był zbudowanym. Będąc w ukryciu słyszał całą rozmowę między młodzieńcem a Palmirą.

Palmira, gdy pierwsze jej zdziwienie minęło, odrzekła na zapytanie młodzieńca:

— Witam cię, młodzieńcze. Na zapytanie twoje odpowiadam, że to wszystko na jawie. Ale nie jestem ani czarodziejką, ani aniołem.

— Czy już dawno tu mieszkasz?

— O! niedawno.

— Strój twój jest dziwny, nie znam go wcale... pewno z daleka przychodzisz?

— O! z daleka, przychodzimy z kraju, który leży za morzem, a zowie się Syryą.

— Ktoś ty jest, piękna dziewico?

— Moja matka jest żoną baszy Antyocheńskiego. Za jego rozkazem przybyłam tu w te strony.

— Sama?

— O! nie, mój dobry przyjaciel towarzyszył mi dotąd.

— Przyjaciel? a cóż to za jeden?

— Jestto najlepszy człowiek na świecie; za to kocham go mocno.

— Kochasz go?

— Tak i bardzo. Kocham matkę i Jerzego i baszę i wszystkich dobrych ludzi.

— A gdzież jest ten Jerzy?

— Tego ci nie powiem; wy Europejczycy jesteście okrutni. Tybyś mu jaką krzywdę wyrządził.

Czemuż miałbym mu jaką krzywdę wyrządzić? alboż on mi co złego uczynił?

— Basza Hakim też Europejczykom krzywdy nie wyrządził, bo on jest dobry człowiek. Jednak Europejczycy kraj jego najechali, mnie i Jerzego wygnali, a baszę może zamordują razem z drugimi.

— Ja nikogo nie chcę ukrzywdzić, ani nikogo zamordować, piękna dziewico. Jestem Polak, a Polacy nie są rozbójnikami. Dla tego,

piękna dziewico, przyjm odemnie mieszkanie na tak długo, jak tylko zechcesz, bo w tym szałasie bardzo ci niewygodnie.

— Mnie wszędzie dobrze, skoro Jerzy przy mnie. To bardzo dobry człowiek!

— Przecież Jerzy będzie ci towarzyszył. Wierzę ci, że to dobry musi być człowiek, skoro go tak kochasz.

— Kocham go, jak ojca, jak brata, jak najlepszego przyjaciela.

— Jeszcze mi nie powiedziałaś, czy przyjmujesz mieszkanie, które ci ofiarowałem. Tutaj pozostać nie możesz. Jesteś delikatna, a noce są zimne; byłbym złym chrześcianinem, gdybym cię tu miał pozostawić.

— Czyś ty chrześcianinem?

— Dzięki Najwyższemu, jestem chrześcianinem.

— Młodzieńcze! żal mi ciebie bardzo. Jesteś tak miłym i dobrym, a jednak nie będziesz zbawionym.

— Ja? a to czemu? jestem prawowiernym katolikiem, dobrym chrześcianinem, a miłosierdzie Boże jest dla każdego otwarte, skoro uwierzy, ochrzci się i czyni to wszystko, co nasz Zbawiciel Jezus Chrystus przykazał.

— Wielki Ałłachu! nie karz tego młodzieńca za jego bluźnierstwa, bo on cię nie zna.

— Poganka!! — wykrzyknął młodzieniec, cofając się o krok w tył.

— Nie jestem poganką, ale wierną wszechmocnemu Ałłachowi i Mahometowi, jego prorokowi.

— Bądź zdrowa... — krzyknął młodzian, siadł na konia i cwałem ruszył z miejsca. Wnet zniknął w gęstwinie.

Jerzy był świadkiem całego zajścia. Młodzieniec podobał mu się, lubo nie mógł sobie swego szczególnego pociągu ku nieznajomemu żadną miarą wytłumaczyć. Może to dla tego, że po wielu latach ujrzał po raz pierwszy ziomka! Żal mu było, że młodzian nieznajomy tak prędko odjechał, byłby się może od niego dowiedział, czego się dowiedzieć pragnął. Lecz dla czegoż tak spiesznie odjechał? cóż go zraziło?... widok poganki.

Młodzieńcze! gdybyś wiedział, co to za poganka! gdybyś wiedział!...

Jerzy wyszedł z gęstwiny.

Palmira rzuciła mu się na szyję, opowiadając mu swą przygodę... nie domyślając się, że Jerzy już o tem wiedział, a może więcej wiedział, niż ona. Ubolewała bardzo nad młodzianem, że nie zna Ałłacha, że nie przyjdzie do siódmego nieba, chociaż on taki dobry. Pokiwał głową Jerzy, chciał już jej powiedzieć, co miał do powiedzenia, ale namyślił się i odłożył na czas późniejszy.

Zobaczmy tymczasem, co się z młodzieńcem nieznajomym działo.

Różne myśli wiły mu się po głowie, wzdrygał się na wspomnienie o pogaństwie, a jednak nie mógł zaprzeczyć, że poganka jakiś urok, jakąś niepojętą siłę posiada, która w jego oczach pogaństwo umniejszała. Dziewica istotnie piękna, dobre posiada serce, ale poganka, a on prawy chrześcianin.

Zwrócił konia w bok, popatrzył za zwierzyną, ale wnet obraz nieznajomej poganki wyrugował mu z myśli polowanie. Zatopił się w dumaniu, przypomniał rozmowę: była dziwaczną i niepojętą. Pochodzi z daleka, a umie po polsku — jej matka również umie po polsku — a jednak poganki!... Jakiś Jerzy jej towarzyszy... co to za Jerzy?... może... może jej kochanek. Zadrżał na to rozumowanie... czemu zadrżał? cóż jemu do poganki? Choćby jeszcze była piękniejsza, onby poganki jednak nie kochał!...

Potarł ręką czoło, uchylił czapki, jakby chciał ochłodzeniem głowy i żar myśli ostudzić. Spojrzał na Dniestr, na łąki, na kwiaty... czy oczarowany? czy co?... obraz poganki wszędzie znajduje!... Ot tam za trzciną... jej długa biała szata poruszyła wodę... nie! to łabędzie się kąpią!.. Och! co za cudny jej głos! on go słyszy. Zatrzymał konia... słuchał... nie! to słowik ukryty w liściu drzew gęstych rozlewa w około swe melodyjne pienia. Rozgniewał się młodzian, targnął niecierpliwie konia; koń skoczył, parsknął, stado gęsi, kaczek zerwało się z krzykiem... on już tego nie słyszał, nie widział, bo poganka znowu myśli jego opanowała.

Puścił więc i myślom i koniowi wodze.

Koń po chwili zapędził na dziedziniec. Młodzieniec zeszedł z konia, podał cugle stajennemu, a sam pobiegł do pokoju swego. Myśliwców jeszcze nie było.

Młodzian usiadł, zatopił się w myślach tak głęboko, że wracający nad wieczorem łowcy jeszcze go w tej samej zastali postawie. O czem

marzył? łatwo zgadnąć... o czarodziejce pogance!

Noc nadeszła. Młodzieniec czuł się dzisiaj mocno utrudzonym i pragnął spoczynku. Położył się, ale sen nie przychodził. Rozmarzona wyobraźnia przeprowadziła przed jego oczyma wypadki dnia dzisiejszego. W uszach mu bębniło, zdawało mu się, że z nieznajomą rozmawia, że ona tu jest przy nim.

Gwiazdy północ wskazywały, gdy wreszcie młodzian zasnął. Zdawało mu się, że jest znowu w gęstwinie przed szałasem poganki. Stała zagniewana, a jednak tak piękna, że nie mogąc znieść tyle blasku, ręką zasłonił oczy. Upadł na kolana, błagał o przebaczenie... za co?... nie wiedział. Poganka podała mu rękę i usiedli oboje na murawie w jakiemś pięknem miejscu. Nigdy on tak cudnej okolicy nie widział. Powietrze tak przepełnione wonią kwiatów, tak było czyste i zdrowe, że pełną piersią wciągał je w siebie. Poganka przy nim siedziała. O! jak był szczęśliwy, że mógł dotknąć się jej szaty, uścisnąć jej białą rękę. Ona coś mówiła... nie rozumiał tego. Słowa jej rozpływały się w powietrzu, ze słów tworzyły się tony niewidzialne... zamieniły się w kwieciste wieńce... on je widział... leciały w górę, wysoko — wysoko... aż znikły w niebiosach. Przybliżył się do niej... uczuł oddech jej tchnienia... w głowie mu się zawróciło, nic nie widział, nic nie słyszał.

Teraz widzi się w innem miejscu. Dziewica taką znowu pięknością jaśnieje, że mu się serce rozpływa. Ona kiwa na niego rączką, aby bliżej przystąpił... poszedł.

-- Jestem chrześcianką, — mówiła.

— Aniołem jesteś! — krzyknął.

Podała mu rękę.

— Kochasz mnie? — pyta.

— Kocham!... kocham!... kocham!...

— Ja cię też kocham...

On ją za rękę mocniej uchwycił... nagle ujrzał się przed swą komnatą: dziewica z nim... wprowadza do swej komnaty, obejmuje ją w pół, przyciska do siebie... świat pierzchnął... ciemność dokoła... zapomniał że żyje.

Młodzieniec się obudził.

Na dworze straszna burza, piorun gdzieś uderzył. Otwartem oknem ciągnął zimny wiatr, napędzając do komnaty gęste krople ulewnego deszczu. Wstał więc i poszedł zamknąć okno. Uczyniwszy to, wrócił i znów się położył, ale już nie zasnął. Długo rozmyślał nad swemi osobliwszemi snami. Było to w wieku, w którym religia chrześciańska była jeszcze znacznie upstrzona ideałami wziętemi z pogaństwa. Wierzono w sny, wierzono w czary. Nie dziw więc, że młodzieniec sny swe uważał za przepowiednię nieszczęścia, chociaż one niczem więcej nie były, jak skutkiem rozognionej wyobraźni, podrażnionej jeszcze parnem powietrzem.

Dzień nadszedł. Burza przeminęła; słońce pięknie zajaśniało, a powietrze oczyszczone pełne było gwaru ptasząt. Ziemia okryta zielenią zdawała się uśmiechać i niby wywabiała zamkniętych między murami do zobaczenia jej kosztownej odzieży. Słowiki ukryte między liściem wyśpiewywały nigdy nieskończoną piosenkę; gdzieś wysoko witały się bociany, a jaskółki zawieszone nad wodą, wygładzały piersią jej powierzchnią.

Młodzieniec siadł na konia, aby po tak przykrej nocy rozgorączkowaną krew ostudzić świeżem powietrzem. Pojechał. Koń sam szedł według własnego instynktu, gdyż młodzieniec utonął w myślach. Jechał tam, dokąd go koń zaniesie.

* * *

Palmira przez cały dzień nie mogła zapomnieć nadobnego młodziana. Nie mogła odgadnąć, czemu tak spiesznie odjechał. Przecież go niczem nie zraziła! Pytała Jerzego, on też niby nie wiedział. Przyjedzie on tu jeszcze? O! niech lepiej nie przyjeżdża, bo on niewierny, a Ałłach się gniewa, gdy kto przestaje z niewiernymi. Usiadła, zakryła twarz dłonią i myślała... o czem? nie wiadomo, bo gdy się podniosła, sama o tem nie wiedziała.

Nadszedł wieczór, a z nim i noc. Ciemność, ta przyjaciółka dumań, pogrążyła biedne dziewczę znowu w długie, głębokie zamyślenie. Sen nie przychodził, chociaż już dawno udała się na spoczynek. Na dworze burza... ona jej nie słyszała, bo w jej sercu była inna burza, która tak prędko nie przemija. Serce jej tak biło, w głowie tak szumiało, w uszach bębniło, że teraz i echo Libanu byłoby dla niej niesłyszalnem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

DŁUGI, SZEROKI I BYSTROOKI.

(Ciąg dalszy.)

Królewicz nie mógł oczu swych odwrócić od dziewicy, tak była piękna. Zaczął też do niej mówić i o rozmaite rzeczy ją wypytywać, lecz ona nic nie odpowiadając, ani się nawet nie uśmiechała, ani na nikogo nie patrzyła, jak gdyby była z marmuru. Usiadłszy przy niej, postanowił całą noc nie spać, by mu nie znikła, a dla największej jeszcze pewności rozciągnął się Długi jakby rzemień jaki, i otoczył sobą ściany komnaty; Szeroki zaś usiadł we drzwiach, nadął się i zapchał je sobą tak, że ani mysz nie byłaby mogła się przecisnąć, a Bystrooki stanął na straży przy filarze w środku izby znajdującym się. Po chwili przecież wszystkich sen zmorzył: usnęli przeto i spali noc całą jak potopieni.

Gdy z rana świtać zaczęło, królewicz pierwszy się obudził i przeląkł się jakby mu kto nóż w piersiach utopił, bo królowa zniknęła. Obudziwszy natychmiast sługi, radził ich się, coby czynić wypadało.

— Nie frasujcie się. — rzekł Bystrooki, i wyjrzał oknem — już ją widzę! Sto mil ztąd jest las, wśród lasu stary dąb, na wierzchołku tego dębu żołądź, a ta żołądź to ona. Niech mnie Długi weźmie na plecy, a dostaniemy ją. Długi wziął go na plecy, wyciągnął się i poszedł, co krok mil dziesięć. Bystrooki wskazywał mu drogę. Nie upłynęło przeto tyle czasu, ile potrzeba, by obejść około nie wielkiej chaty, a już wrócili. Długi podał królewiczowi żołądź i rzekł:

— Upuśćcie ją, panie, na ziemię! — Gdy królewicz to uczynił, piękna królewna w tej chwili obok niego stanęła.

A gdy się słońce po za wzgórzami pokazywać zaczęło, drzwi z łoskotem się otwarły i uśmiechający się zdradliwie wszedł czarnoksiężnik. Spostrzegłszy królewnę, zasępił się i mruknął, a zarazem pękła z łoskotem jedna z opasających go obręczy żelaznych i odpadła. Potem wziął dziewicę za rękę i wyprowadził ją.

Królewicz przez dzień cały, nic nie mając do czynienia, chodził po zamku, oglądając przedstawiające mu się osobliwości.

Wszystko tu w takim znalazł stanie, jakoby życie w jednem oka mgnieniu tu było obumarło. W sali jednej ujrzał królewicza, który obiema rękoma ujęty trzymał miecz do góry wzniesiony, jakby do cięcia, lecz ciosu nie dokonał; był skamieniały. W izbie jednej był skamieniały rycerz, jakby trwożliwie przed kim uciekający, który o próg zawadził i upadał, lecz jeszcze nie upadł całkiem na ziemię. Przy kominie jednym siedział służący. W jednej ręce trzymał on kawałek pieczeni a drugą kładł cząstkę z niej urwaną do ust, lecz nie zdoławszy tego dokonać, skamieniał. I wiele innych jeszcze skamieniałych widział, a każdego w tej samej postawie, w jakiej był, gdy czarnoksiężnik wyrzekł: Stań się kamieniem! — Wiele też widział skamieniałych pięknych koni, a w zamku i około zamku wszystko było puste i martwe. Były drzewa, lecz bez liści, były łąki, lecz bez trawy; była rzeka, lecz nie płynęła; nigdzie nie było ptaszka, któryby śpiewał, nigdzie kwiatka, któryby kwitł, nigdzie rybki, którąby w wodzie pływała.

Rano, w południe i wieczór znaleźli królewicz i towarzysze jego wspaniałą w zamku ucztę: potrawy same stawały na stole; wino samo się nalewało. Po wieczerzy znowu się drzwi otworzyły, a czarnoksiężnik wprowadził królewnę, by jej królewicz strzegł. Lubo zaś wszyscy jak najmocniej postanowili snowi się opierać, na nic się to przecież nie zdało: wszyscy bowiem posnęli. Gdy ze świtem rannym królewicz przebudziwszy się, spostrzegł, że królewna znikła,

zerwał się i chwytając za ramiona Bystrookiego, zawołał:

— Hej! wstawaj, ty bystre oko! Czy wiesz gdzie się królewna podziała?

Ten przetarł sobie oczy, spojrzał i rzekł:

— Już ją widzę! Dwieście mil ztąd jest góra, w górze opoka, w opoce drogi kamień, a ten kamień to ona. Jeźli mnie długi zaniesie, dostaniemy ją.

(Dokończenie nastąpi.)

KLARA
CZYLI
ZWYCIĘZTWO CNOTY.
POWIEŚĆ.
NAPISAŁ
X. KANONIK SZMID.

(Dokończenie.)

Rycerz wszczął rozmowę z Rudolfem i nie mógł dosyć podziwiać jego roztropności, delikatnego uczucia, jego wysłowienia się pięknego i pełnego szlachetności, która w ogóle w całej jego odbijała się postaci. Pochwalił w swem sercu wybór Klary, i zwrócił rozmowę na ten przedmiot.

— Ach, rzekł Rudolf, zrzec się jej zdołałem wprawdzie z miłości dla ojca, którego to ożenienie śmiertelnie byłoby zmartwiło; lecz widzieć ją w objęciach niecnego rabusia, który nie przeczuwa nawet, jakim skarbem nieocenionym jest jej serce, jest to męczarnią, pod której ciężarem upadam.

Rycerz Artur nie okazał, jak bolesnie uderzyły go słowa Rudolfa; opowiedział Rudolfowi podobnie jak Kunegundzie wszystko, co zaszło od uprowadzenia Klary, a zapewniwszy się o przebaczeniu młodzieńca, dodał:

— Odtąd jest Klara dla mnie tylko siostrą ukochaną, a ty szlachetny młodzieńcze, jako jej narzeczony, mym bratem. Pójdę teraz z tobą do twego ojca, a ponieważ on nie ma Klarze nic innego do zarzucenia, jak to, że jest ubogą, oznajmię mu, iż będzie bogatszą od ciebie; bo dam jej dwa razy tyle ile ty od ojca dostaniesz, jako małe wynagrodzenie za boleść, którą jej i matce wyrządziłem.

ROZDZIAŁ VI.
Zakończenie.

W piękny wieczór jesienny siedziała Klara w ogrodzie na kamiennej ławce pod rozłożystym kasztanem. Niebo było czyste i pogodne, a widok otwierający się przez nizki parkan ogrodu na dalekie góry pokryte lasami, które jesień w rozmaite umaiła barwy, był niewypowiedzianie pięknym. Z rozrzewnieniem myślała Klara o matce i o rozmaitych zatrudnieniach, którémi zajmowała się razem w tej porze roku, dla przysposobienia się na nadchodzącą zimę.

— Ach! pomyślała, wówczas w tem ubóztwie i pracy czułam się daleko szczęśliwszą, niż dzisiaj wśród dostatków i próżnowania. O, kiedyż cię ujrzę, najdroższa matko!

Podniosła oczy, rozumiejąc, że Anusia przychodzi do niej, gdy, o nieba! ujrzała matkę swą idącą ku niej wązką ścieżką pomiędzy grządkami kwiatów. Klara krzyknęła z radości, upuściła na łono haft, który miała w ręku, i rzuciła się w objęcia matki. Obiedwie ściskały się długo w milczeniu, a płynące łzy świadczyły tylko o ich radości. Potem posadziła Klara matkę na kamienną ławeczkę i usiadła przy niej. Trzymając rękę kochanej matki opowiadała jej wszystko, co wycierpiała od

czasu rozstania się z nią, aż do chwili, gdy ją Bóg przed obrazem Matki Bozkiej tak cudownie wysłuchał.

Matka zaś wznosząc oczy ku niebu, rzekła:

— Czy przypominasz sobie, lube dziecię, jak w wilią owego wieczoru, gdzie mi cię porwano, mówiłam do ciebie: Czuwaj i módl się, abyś nie wpadła w pokusę. Ach, nie przeczuwałam wówczas co cię czekało. Ty, droga Klaro, trzymałaś się święcie tych słów. Czuwałaś pilnie nad sobą. Nietylko dawałaś baczność na własne postępki i mowy, ale nie dałaś się uwieść pochlebstwom, przyrzeczeniom, podarunkom i strojom. Modliłaś się rankiem i wieczorem. Oddałaś się w ręce Boga, jego o ratunek błagałaś, i On się też widocznie opiekował tobą i wybawił cię ze złej toni. Kto czuwa i modli się, ten oprze się wszelkiej pokusie.

Na takich rozmowach spędziły matka i córka pierwsze chwile powitania. Biedna Klara miała często na ustach pytanie:

— Co robi Rudolf?

Lecz lękała się wymówić je, by nie zasmucić ucieszonej matki. Ale ta spostrzegłszy, iż Klara ma coś w sercu, czego wymówić nie śmie, rzekła:

— Chciałabyś mi się zapytać zapewne o coś jeszcze, lube dziecię, nieprawdaż? Bądź otwartą względem twej matki.

Klara schyliła głowę na łono matki i okryta rumieńcem, wyrzekła z cicha:

— A Rudolf?.

Matka opowiedziała jej z rozrzewnieniem, jak szlachetny młodzieniec, wtenczas, kiedy wszyscy mieli Klarę za straconą, nazywał się jej synem, jak ją pocieszał, odwiedzał i o wszystkie jej dbał potrzeby, jak jej święcie przyrzekł wynagrodzić ile możności stratę córki, jak ją szanował i chciał być podporą jej starości. Jakie sobie zadawał trudy, by odkryć co się stało z Klarą; jak przy swej niewypowiedzianej boleści żadnego z swych obowiązków nie zaniedbał, i że ojciec jego, pomimo, iż jest bardzo surowy, daje mu to świadectwo, że w całym świecie nie może być lepszego i posłuszniejszego syna. Tak rozmawiając Kunegunda i Klara, wstały i przechodziły się po ogrodzie. Klara słuchała matki z cichą rozkoszą. Iskra nadziei zatliła znowu w jej sercu. Znała ona dobrze swą matkę i wiedziała, iż ta nie mówiłaby o Rudolfie z takim zapałem, gdyby dla Klary żadnej nadziei nie było. Lecz jakiem byłoż jej zadziwienie, gdy nagle Rudolf w towarzystwie ojca ukazał się u fórtki ogrodu.

Klara rumieniła się i bladła na przemian. Podziwienie z tak niespodziewanego zjawiska czyniło ją niemą. Ojciec stary, prostoduszny szlachcic, zbliżył się do Klary, ścisnął jej rękę tak mocno, iż ledwo nie krzyknęła z bólu, i rzekł:

— Klaro, chwalę cię, przetrzymałaś próbę ognistą, i nie życzę sobie lepszej synowej. Nawet wówczas, gdy byłem przeciwko tobie, okazałaś się szlachetną. Sama przypomniałaś synowi memu, jak mi powiadał, o czwartem przykazaniu, ja zaś przypominam wam teraz obietnicę, którą Bóg do tego przykazania dołączył. Nie miałem właściwie nic przeciwko tobie. Tylko brak majątku czynił, że nie mogłem zezwolić na ożenienie z tobą mego syna. Ale teraz . . lecz cicho, ten oto szlachetny rycerz niech dokończy za mnie.

Klara obróciła się i ujrzała za sobą rycerza Artura.

— Nie lękaj się mnie, Klaro, rzekł on poważnie. Odtąd ani ty, ani żadna inna nie będzie potrzebowała drżeć przedemną. Od chwili, gdy cię widziałem i słyszałem modlącą się w kaplicy, stałaś się dla mnie siostrą ukochaną. Przebacz mi więc me postępowanie, siostro kochana, a ty Rudolfie zostań bratem moim. Bo słuchaj Klaro, mówił dalej, winien ci jestem wynagrodzenie za cierpienia, które sprowadziłem na ciebie i twą matkę. Więcej jeszcze winienem ci nad to, bo przez twoją cnotę i pobożność stałem się dobrym człowiekiem. Szlachetne uczucia, które zdołałaś obudzić we mnie, uszczęśliwiają mnie więcej, niż wszelkie moje dobra i pałace. Nie gardź więc moją wdzięcznością. Przyjmij tę wioskę, która jest najodleglejszą z mych posiadłości, a którą w zaślepieniu przeznaczyłem ci jako zapłatę grzechu. Z oburzeniem odrzucałaś ten dar, lecz teraz przyjmij go jako nagrodę cnoty. Klaro, daj mi przez to dowód, że mi przebaczasz; że mi zwracasz twój szacunek.

Klara nie miała słów, by swe uczucia wyrazić. Dar ten zdawał jej się zbyt wielkim. Wspaniałość Artura zdawała jej się niepojętą. Stała więc pogrążona w milczeniu.

— O Klaro! zawołał Artur, niepojmując jej milczenia, nie gardź mną! Tak, zasługiwałem na twą wzgardę, lecz Bóg widzi, że teraz już nie. Nie myśl, iż chcę twe serce w inny pozyskać sposób. Widzisz, mój koń stoi osiodlany, wkrótce wyjeżdżam na wojnę. Może nie ujrzysz mnie już więcej. Dozwól, bym twój szacunek mógł jako jedyną pociechę zabrać ze sobą w tę daleką drogę; a gdy się dowiesz, że zginąłem na polu chwały, uroń łzę nademną i powiedz:

— On nie był złym zupełnie.

Klara rozpłakała się, podała mu rękę i rzekła:

— Dzięki ci, szlachetny rycerzu, przyjmuję twą ofiarę.

Wszyscy przytomni do łez byli wzruszeni.

— Pójdźcie jeszcze na chwilę do kaplicy, rzekł Artur, podając rękę Klarze i Rudolfowi, i zaprowadził ich przed ołtarz.

— Twoja modlitwa przed tym ołtarzem, pobożna Klaro, przemieniła serce moje. Moja matka umieściła w nim ten obraz. Byłem blizki zapomnienia jej przestróg i tego com jej na śmiertelnem przyrzekł łożu. Ty, czysta dziewico, uświęciłaś w mem sercu pamięć mej matki i sprowadziłaś mnie zbłąkanego na drogę cnoty.

— Przed tym tu obrazem przyrzekłem być we wszystkiem pomocnym do związku Klary z Rudolfem. Podajcie więc sobie ręce i przysiągnijcie wieczną miłość. Z rodzicami waszemi już wszystko urządziłem. Ty Klaro z matką twoją urządźcie się tu jak w własnym domu. Rudolf zostanie rok jeszcze przy swym ojcu, dopókąd wszystkie interesa tej wioski, które są zawikłane, nie zostaną załatwione, a w rocznicę dnia, w którym Klara modliła się przed tym ołtarzem, niechaj będzie węzłem małżeńskim zaślubioną Rudolfowi.

Rudolf i Klara podali sobie ręce wśród łez rzęsistych. Rodzice ich stali wzruszeni na boku. Wszyscy modlili się jeszcze długo, klęcząc na stopniach ołtarza, a potem odprowadzili Artura na dziedziniec, gdzie konie jego stały do podróży gotowe. Uścisnął rękę każdego z osobna, dosiadł rączego rumaka, i pojechał cwałem otoczony orszakiem giermków.

W rok potem odbyło się wesele. Rudolf i Klara żyli tak szczęśliwie, jak się tego spodziewać można było. Rudolfa zaś ojciec i matka Klary odżyli na nowo przy swych wnukach.

Po trzech latach powrócił Artur szczęśliwie z wojny, ożenił się z bogatą hrabianką z okolicy i był najszczęśliwszym małżonkiem i ojcem. Co rok odwiedzał Rudolfa i cieszył się wraz z swoją żoną ze szczęścia Klary i jej lubych dziatek.

O cudownem zdarzeniu przy obrazie Matki Bozkiej, rozniosła się wkrótce pogłoska po całej okolicy. Wielu mniemało, iż Bóg przemienił cudem swoim rozpustnego rycerza. Ale i ci, którym bliższe okoliczności tego zdarzenia znajome były, mówili:

— Lubo przypadek, że rycerz usłyszał modlitwę pobożnej dziewicy, był powodem do jego poprawy, to jednak Bóg sprowadził go w te miejsca i tym sposobem modlitwa Klary wysłuchaną została.

Wieśniacy z wszystkich wiosek okolicznych schodzili się odtąd z swymi dziatkami do kaplicy, i wielu rycerzy z swemi żonami i córkami odwiedzali ją. Każda matka przedstawiała obraz Najświętszej Dziewicy swym córkom jako wzór niewinności i cnoty, i napominała je, by tak jak Klara wstępowały w jej ślady. Każdy ojciec przestrzegał swych synów, by byli podobnymi do rycerza Artura, nie z jego zaślepienia, lecz z jego szlachetności. Klary osobliwa przygoda służyła za naukę niejednej dziewicy i młodzieńcowi owych czasów; oby czytanie tej powiastki posłużyło przy pomocy Bozkiej i teraźniejszej dorastającej młodzieży ku pożytkowi i zbawieniu.

(Koniec.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Wężownik ziele, Serpentaria, rośnie na łąkach cienistych i wilgotnych, korzeń ma jak wąż zwiniony; liście podobne do szczawiu kobylego, w końcach nieco zawieszające się, kwiat koloru cielistego. Korzeń jego wygotowany wywołuje poty, wstrzymuje womity i poronienie.

Wołowe oko, ziele, Buftalmus, rośnie po miedzach i na suchych łąkach; odwar z kwiatu jego jest bardzo skuteczny na piersi.

Wrotycz ziele, każdemu znane, liście i jego żółty kwiat służy małym dzieciom na robaki, a dorosłym na kurcze członków, osobliwie gdy w mocnym occie ugotowanego używa się do nacierania członków.

Żabie gronka, Herniaria Milegrania, to ziółko małe i nizkie, krzewite, poziome: listeczki ma drobniuchne, nieco podługowate; rodzi nasienie drobne, białawe, tak obficie, że niem całe obsypane bywa. Jest bardzo pomocne na rupturę wewnętrznie zażywając. Rośnie na miejscach piaszczystych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)